

Silnik pracował tak głośno, że momentami zagłuszał radio. Josh postukiwał palcami w udo, wybijając rytm rozbrzmiewającej, rockowej piosenki. Raz po raz zerkał odruchowo w kierunku siedzącego na miejscu kierowcy mężczyzny. Przyłapany na tych ukradkowych spojrzeniach, odwrócił wzrok w stronę szyby i uśmiechnąwszy się mimowolnie, rzucił:

– Nic nie mów.

– Nie zamierzałem – odpowiedział miękko Archie, również uśmiechając się pod nosem.

– To Jake Mennings? – zapytał Josh, wsłuchując się w chrypliwy głos wokalisty. Archie posłał mu pełne politowania spojrzenie.

– Andrew Williams. Rany.

– Łatwo ci krytykować, skoro całymi dniami słuchasz muzyki – burknął Josh, obruszony pobrzmiwającą w tonie partnera dezaprobatą. – U mnie lecą tylko reklamy. *Ser żółty, trzydzieści procent taniej. Kup dwie paczki fajerwerków, trzecią dostaniesz gratis.* Rzygać mi się chce. Nienawidzę tej roboty.

– Więć znajdź nową – zasugerował Archie.

– Jezu. – Josh westchnął ciężko i pokręcił głową. – Znowu to samo.

– Bo znowu marudzisz, to co mam ci powiedzieć? – zapytał bezradnie Archie. – Roselake nie jest taką dziurą, na jaką je kreujesz.

– Jest – oznajmił grobowo Josh.

Same jeziora, lasy i jakieś dwadzieścia tysięcy mieszkańców, głównie starych, nudnych i zaściankowych. Nie znosił tego miejsca.

– I nawet nie próbuj zaprzeczać – dodał pospiesznie, widząc, że Archie otwiera usta. – Skoro głupi koncert jest tu wydarzeniem roku.

– Mnie się podobało.

– Mi też – zapewnił Josh, dochodząc do wniosku, że jego słowa nie zabrzmiały tak, jak powinny. Chodziło mu o to, że w większych miastach występ podrzędnej, rockowej grupki, a tylko takim mianem dało się opisać Eagles of Storm, przeszedłby bez echa, a tu urósł do rangi czegoś niespotykanego. Nic dziwnego, podobne zespoły

omijały takie dziury jak Roselake szerokim łukiem. – Na koniec trochę mnie poniosło. W pewnym momencie chciałem cię pocałować – wyznał, zerkając na partnera, ciekaw jego reakcji.

– Trzeba było to zrobić – odparł swobodnie Archie.

– Ta, jasne – prychnął Josh. – Teraz tak gadasz.

– W tym zamieszaniu pewnie nikt by nie zauważył.

– Mhm – mruknął sceptycznie Josh.

– Mam pomysł. Następnym razem przebierz się za kobietę, to będziemy mogli robić, co tylko zechcemy – rzucił z szerokim uśmiechem Archie.

– A dlaczego to ja miałbym się przebierać? – burknął Josh, unosząc brew.

– Bez konkretnego powodu. Po prostu wyobraziłem sobie ciebie w kiece i ta myśl strasznie mnie rozbawiła – przyznał Archie, chichocząc.

– Podnieciła, chciałeś powiedzieć – poprawił go prowokacyjnie Josh.

– Niech będzie.

Josh musiał zgodzić się z konkluzją Archiego – to była zabawna, a przy tym całkiem nierealistyczna wizja. Josh miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, krótkie, jasne włosy, twarz o wyrazistych rysach, brązowych oczach oraz wydatnych kościach policzkowych, i w niczym, począwszy od jego wyglądu, na zachowaniu kończąc, nie dało się znaleźć choćby krztyny delikatności. Archie był zdecydowanie bardziej opanowany, ale jeszcze wyższy od Josha, a jakby tego było mało, barczysty i generalnie sprawiający wrażenie *sporego*. Krótko mówiąc, żaden z nich nie wypadłby przekonująco usiłując uchodzić za przedstawicielkę płci pięknej.

Przez parę minut jechali w ciszy, nie licząc radia i coraz bardziej warczącego silnika. W pewnym momencie, Josh położył dłoń na udzie partnera, po czym zaczął z wolna:

– Swoją drogą... Muszę się w końcu rozejrzeć za mieszkaniem. Śmieją się ze mnie, że ciągle siedzę u rodziców. Ojciec też zaczyna coś marudzić.

Spłoszył się, gdy Archie posłał mu ukradkowe spojrzenie. Zdawał sobie sprawę, że nie jest ani trochę subtelny, ale inaczej nie potrafił. Nie pierwszy raz poruszał ten temat, licząc na inną odpowiedź niż zwykle.

– Ja też mieszkam z rodzicami – powiedział Archie.

– No o tym przecież mówię. – Josh odchrząknął cicho, zabierając rękę. – A moglibyśmy wynająć coś razem. Najlepiej daleko stąd.

Archie zaśmiał się cicho.

– Wciąż marzy ci się Glassport? – zapytał, jak gdyby uznawał to za nierealistyczną fantazję.

– A jakżeby inaczej! To najlepsze miejsce na Ziemi.

– Nigdy tam nie byłeś.

– Ale słyszałem. To duże miasto, a w takich ludzie są bardziej otwarci. Nie zagląдают każdemu przez ramię. Respektują prywatność. No i są tam kluby. Te kluby – dodał wymownie Josh.

– Och, tak, *te kluby* – odparł żartobliwie Archie. – *Te kluby*, w których banda sodomitów wyczynia okropne bezeczeństwa.

– No. Zazdroszczę im.

Archie zaśmiał się głośno.

– Nie chcesz mnie przypadkiem wymienić na jakiegoś wielkomiejskiego przystojniaka? – zapytał, niby wciąż swobodnym tonem, ale spojrzenie, jakim obdarzył partnera zdradzało niepokój.

– Nie. Chcę jechać z tobą – odrzekł stanowczo Josh.

Być z tobą. Już zawsze – to miał ochotę powiedzieć, ale uznał, że zabrzmiał zbyt patetycznie.

Archie uśmiechnął się niepewnie. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym skręcił w Autumn Avenue i szepnął:

– Nie mogę.

– A co cię tu niby trzyma?

– Przecież wiesz. Staruszek ma się coraz gorzej. Nie zostało mu wiele czasu.

Trzy lata temu, u ojca Archiego zdiagnozowano raka płuc. Nowotwór już wtedy był w zaawansowanym stadium. Lekarz prognozował, że pan Evans przeżyje góra pół roku.

– Nie jestem pewien. Zbyttnio mu się nie spieszy – burknął Josh.

Archie spojrzał na niego z niedowierzaniem, po czym parsknął głośnym śmiechem.

– Dobry Boże! – zawołał zaszokowany. – Udam, że tego nie słyszałem.

– Ej, no! – Wiedział, że Archie się na niego nie gniewa, lecz i tak czuł potrzebę, by się wytłumaczyć. – Nie życzę twojemu ojcu źle, ale jak tak dalej pójdzie to nas przeżyje. Nie możesz podporządkowywać mu swojego życia.

– To mój ojciec. Chcę z nim być przy jego ostatnich momentach.

Josh nie odpowiedział. Rozumiał, co kierowało partnerem, ale i tak był rozczarowany.

– Kocham cię – rzucił pojednawczo Archie.

– Przecież wiem.

– A mimo to jesteś zły.

– Nie zły, tylko... lekko poirytowany – sprostował Josh, wlepiając wzrok w szybę.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał.

– Wynagrodzę ci to, wiesz? – szepnął nagle Archie.

Josh spojrział na niego i uśmiechnął się lekko.

– A myślisz, że po co rozpętałem całą tę dyskusję? – rzucił, chcąc rozładować atmosferę.

Archie zaśmiał się cicho, ale jego kolejne słowa były już pełne powagi:

– Tu czy w Glassport... I tak musielibyśmy się ukrywać.

– Przecież wiem. Nie chodzi mi o całkowitą otwartość. I nawet nie chodzi mi o Glassport. Chciałbym po prostu znaleźć się z daleka od tych ludzi. Naprawdę nie masz ich wszystkich dość?

– Czasami.

– Zazdroszczę – parsknął ponuro Josh. – Ja czasami zapominam, że mam ich dość, ale ktoś szybko przywraca mnie do rzeczywistości.

– Już niedługo – zapewnił Archie.

Josh uśmiechnął się bez przekonania. Może i staruszek Evans nie miał przed sobą wiele czasu, ale co będzie dalej? Czy Archie będzie gotów zostawić matkę samą i tak po prostu wyjechać? Bał się, że marzenia o wspólnym wyjeździe są niczym więcej, jak tylko mrzonką. Że na zawsze zostanie uwięziony w tej dziurze. Bo sam nie pojedzie. Gdzie będzie Archie, tam i on – co do tego nie miał wątpliwości.

Silnik zaczął dziwnie charczeć.

– O Boże... Czy my umrzemy? – zapytał z przejęciem Josh i wcale nie było mu do śmiechu.

– Nie dramatyzuj – odparł ze spokojem Archie, gładząc pieścociwie kierownicę. – Wiesz, że Sally potrzebuje trochę zachęty.

Sally. Tak właśnie nazywał się niebieski Chevrolet Impala SS, ukochane auto Archiego. I słodki Jezu, to dopiero był przykład ślepej miłości!

– Aha – burknął sceptycznie Josh i sceptycyzm ten okazał się całkowicie uzasadniony, bo nagle zaczęli niepokojąco zwalniać.

Ostatnimi siłami, Archie zjechał na pobocze. Tam się zatrzymali.

– Zachęty, mówisz? – zakpił Josh.

– Zaraz się tym zajmę – odparł jak gdyby nigdy nic Archie, wysiadając z auta.

Josh wydał z siebie ciężkie westchnienie i również opuścił pojazd. Na zewnątrz było cholernie ciemno i cholernie zimno. Archie wyjął ze schowka latarkę i podszedł do bagażnika, gdzie trzymał zestaw narzędzi. Nie była to w końcu pierwsza taka sytuacja.

– To prawda, co mówią. Szewc chodzi bosy – mruknął z dezaprobatą Josh.

– Że co?

– To, że jesteś mechanikiem, a jeździsz najgorszym gównem.

– Nie mów tak o Sally – zaproponował Archie. – To naprawdę dobry wóz. Tyle, że ma swoje lata, a poprzedni właściciel nie obchodził się z nim, jak należy.

– Będę mówił, co chcę. Powinieneś się cieszyć, że toleruję obecność kobiety w twoim życiu i to takiej, o którą dbasz czasem bardziej ode mnie.

Archie zachichotał i wzięwszy co trzeba, obszedł auto, a następnie otworzył maskę.

– Nie oddalaj się od samochodu – rzucił nagle, oświetlając stromy spadek, od którego dzieliło ich raptem parę metrów.

– Nie jestem głupi. Potrzytać ci latarkę? – zaproponował Josh, podchodząc do mężczyzny.

– Poproszę.

Josh oparł się o wóz z cichym westchnieniem, koncentrując światło na wnętrzu auta. Archie spojrział na niego i uśmiechnął się przeproszająco.

– Nic się nie martw – mruknął Josh, nie mogąc się gniewać w takich okolicznościach. – Najwyżej odwieziesz mnie prosto do roboty.

Archie zamrugał ze zdziwieniem, po czym zerknął na zegarek.

– Cholera... Dochodzi pierwsza.

– Ano.

Archie zabrał się za naprawę. Przez kilka minut dookoła panowała niezmacona cisza. Josh z całej siły starał się powstrzymać od marudzenia i szło mu całkiem nieźle, prawdopodobnie dlatego, że niemal przysypiał na stojąco. Zbudziło go nieoczekiwane pytanie Archiego:

– Wiesz, że w listopadzie minie pięć lat?

– Pięć lad od czego? – zapytał nie do końca przytomnie.

– Odkąd zaczęliśmy być razem – wyjaśnił Archie.

– Jaja sobie robisz? – prychnął Josh. – Całowaliśmy się po raz pierwszy, gdy byliśmy trzynastolatkami.

– To ty pocałowałaś mnie – przypomniał Archie. – A na drugi dzień powiedziałaś, że się upiłeś i pomyliłeś mnie z dziewczyną.

– A ty, że masz mnie nie dotykać, bo naskarżysz ojcu – odwdzieczył mu się Josh.

Archie zachichotał.

– Tak było – przyznał.

Ale i tak się pieprzyli. To znaczy nie wtedy, gdy mieli trzynaście lat! Choć parę razy się do siebie dobierali, głównie pod pretekstem przepychanek. Odkąd jednak trafili do szkoły średniej, zabawiali się dość regularnie, zawsze wynajdując sobie różne wymówki. Szybko zrozumieli, że łączy ich coś więcej, ale łatwiej było deklarować, że to etap i tak naprawdę interesują ich laski, niż przyjąć miano *pedala*. Po czasach nieustannych kłótni i niedojrzałości nadszedł jednak moment prawdy i w końcu zdecydowali się być razem. Oczywiście potajemnie. Raczej nikt ich o to nie podejrzewał. Trzymali się razem od wczesnego dzieciństwa. Niektórzy postrzegali ich jako przyrodnich braci.

– Pięć lat, co? – powtórzył z cichym westchnieniem Josh.

– Mhm.

Josh spoglądał na partnera. Kierowany nagłym impulsem, oblizwał dolną wargę, po czym przysunął się do niego, zamierzając go pocałować. Spłoszyły ich jednak światła nadjeżdżającego auta. Jakie było ich zdziwienie, gdy samochód się zatrzymał, a ze środka wyjrzał ich dobry kolega, Nick Baker.

– Hej wam! – zawołał z uśmiechem. – Wóz padł?

– Ukochana Archiego totalnie się rozłożyła – odpowiedział Josh.

– Kurczę. – Nick sprawiał wrażenie przejętego. – Kiepska sprawa, ale to nie czas się tym zajmować. Wsiadajcie. Podrzucę was do domu, a jutro jakoś cię stąd odholujemy.

– Dzięki, ale dam sobie radę – zapewnił Archie. – Znam się na potrzebach swojej ukochanej – dodał prowokacyjnie, zerkając na partnera, który przewrócił oczami. – Lada chwila będzie jej lepiej. Ty jedź, Josh.

– Co? – parsknął Josh. – Nie ma mowy, zostaję.

– To może trochę potrwać.

– Powiedziałeś: *lada chwila*.

– Lubię grzebać w autach, więc moja chwila może być nieco krótsza od twojej – wyjaśnił ze skrępowaniem mężczyzna.

– Jezu, Archie, jaja sobie robisz? – jęknął głucho Josh. – Wracajmy. Zajmiesz się tym jutro.

– Popieram – rzucił Nick.

– Dzięki, ale naprawdę dam sobie radę. Zabierz się z Nickiem, Josh.

– Bez ciebie się nie ruszam – zadeklarował twardo Josh.

– O piątej wstajesz do pracy. Powinieneś się chociaż trochę zdrzemnąć.

– Panowie, nie chcę was ponaglać, ale moja panna czeka, a należy do dość zazdrosnych, więc... Sami wiecie, o co chodzi – powiedział Nick.

Archie i Josh wymienili wymowne spojrzenia.

Ta, wiedzieli. Znali się na pannach, jak nikt inny.

– Zostaję z tobą – szepnął Josh.

– Jedź – upierał się Archie. – Mówię serio.

Josh zagryzł niepewnie wargę. Był już jedną nogą w łóżku, ale głupio było mu zostawiać tego zakochanego w aucie kretyna.

– Dobra – skapitulował jednak, wyobrażając sobie, że w robocie będzie funkcjonował jak zombie. – I tak na marginesie, jak będziesz musiał tu nocować, pamiętaj, że sam jesteś sobie winien – dodał kategorycznie.

Archie zachichotał.

– Będę pamiętał – obiecał.

Josh oddał mu latarkę. Ich dłonie na moment się zetknęły.

– To... cześć – rzucił sztywno.

– Do później – odpowiedział z uśmiechem Archie.

Na nic więcej nie mogli sobie pozwolić.

Josh wsiadł do auta Nicka i zaraz ruszyli.

– Uparty jak zawsze, co? – zagadnął go Nick.

– Nawet nie masz pojęcia – wymamrotał sennie Josh.

– Wracaliście z koncertu?

– Ano. Ty też?

– A skąd! Musiałem zostać dłużej w robocie, a później nie mogłem się przebić przez centrum. Korki w Roselake? To dopiero nowina!

Josh pokiwał mechanicznie głową, stopniowo odpływając. Nick mówił coś jeszcze, ale nie był w stanie się na tym skupić. W końcu dotarli na miejsce. Sam fakt, że zdołał o własnych siłach wytoczyć się z auta, zasługiwał na nagrodę. Podziękował Nickowi i powlókł się do domu. Miał wrażenie, że zaczęło kropić.

Otworzył drzwi, a następnie, pełen nadziei, że nie obudzi rodziców, przemknął do sypialni. Marzył o ciepłym lądowaniu w pościeli, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że cuchnie, więc w pierwszej kolejności skoczył pod prysznic. Gdy wrócił do swojego pokoju, usłyszał charakterystyczne bębnienie. Wyjrzał przez okno.

Już nie kropało.

Lało.

– Ja pierdołę – wymamrotał z niepokojem Archie, obserwując to, co działo się na zewnątrz.

Miał nadzieję, że *chwila* Archiego jednak nie trwała długo i zdążył wrócić do domu przed tym Armagedonem. Cóż. Jutro się dowie.

Technicznie jeszcze dzisiaj.

Z tą myślą, padł na łóżko i natychmiast zasnął.



Pobudka była wyjątkowo trudna – miał wrażenie, że dopiero co zamknął oczy, a już męczył go upiorny dźwięk budzika. Z trudem wygramolił się z łóżka i powłókł do toalety, tylko po to, by napotkać zamknięte drzwi. To mogło oznaczać tylko jedno.

– Mamo! – zawołał z irytacją. – Znowu zajęłaś mi łazienkę?!

– Tylko na chwilę, nie awanturuj się tak! – odkrzyknęła mu kobieta, co oznaczało, że ojciec też już nie spał. Albo od dłuższej chwili, albo właśnie od teraz. – No co za dzieci wychowałam...

– Wychowałaś jedno – przypomniał pobłaźliwie Josh, chociaż i to mogło stanowić przesadne określenie. Właściwie wychował się sam, szwendając z Archiem po ulicach i lasach. W dzieciństwie trudno było zastać go w domu. – Mamo! – wydarł się znowu w akcie desperacji.

– No moment!

Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się wyrobić, bo nie dość, że rodzicielka zajmowała pomieszczenie jeszcze dziesięć minut, to mimo prób mobilizacji, ruchy miał jak żywy trup. W końcu jednak zdołał się ogarnąć, wskoczył na rower i pognął do miasta. Gdy podjechał do supermarketu, była za pięć siódma. Akurat natknął się na swoich współpracowników, Roya Millera i Garry'ego Wilsona.

– Jeszcze nie uzbierałaś na swoje wymarzone autko, Josh? – zapytał z rozbawieniem Miller.

Josh był zaskoczony tymi słowami, ale po chwili przypomniał sobie, że chyba w pewnym momencie rzucił podobnym wytłumaczeniem na pytanie, dlaczego nie jeździ samochodem. Prawda była jednak inna. Mając siedemnaście lat, spowodował poważny wypadek, jadąc autem ojca. Na szczęście poważny tylko dla siebie – owinął się wokół drzewa i przez prawie pół roku nie opuszczał szpitala. Od tamtej pory nie chciał prowadzić i nawet taki motoryzacyjny świr jak Archie to rozumiał.

Odpowiedział coś mało istotnego i pognął do wejścia dla pracowników. Wewnątrz pokoju socjalnego przebrał się w uniform i równo o czasie zameldował

menadżerowi, Peterowi Hansowi. Niestety dalej już nie szło mu tak dobrze. Na szczęście nie rzucili go na kasę, bo pewnie myliłby się przy co drugim kliencie. Zamiast tego dokładał towar.

Około dziesiątej zaczepił go Peter.

– Policzyłeś już ile zostało konserw? – zapytał.

– Co? – rzucił bez zrozumienia Josh. Potrzebował momentu, by jego zwoje mózgowy załapały, o co chodzi. – Nie. Dlaczego?

– Ponieważ prosiłem cię o to pół godziny temu – wyjaśnił z nutą irytacji Peter.

– Naprawdę? – Josh był szczerze zaskoczony. Nie pamiętał, żeby rozmawiali pół godziny temu. Właściwie miał problem, żeby ustalić, kiedy to było i co wtedy robił.

Menadżer wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Weź się w garść, Josh – nakazał surowo, ale jego miękka strona jak zwykle wygrała, bo natychmiast dodał – I może idź na przerwę. Tylko nie więcej, niż dziesięć minut.

– Dzięki.

Archie pognął do pokoju socjalnego. W domu nic nie zjadł, ale zdążył sobie zrobić kanapkę, więc natychmiast się za nią zabrał. Akurat przeżuwał ostatni kęs, gdy zaczął myśleć o minionej nocy. Przetarł usta, po czym zbliżył się do telefonu. Wykręcił numer do warsztatu. Znał go na pamięć.

– Halo? – Po trzech sygnałach odebrał pijaczyna Ralph, szef Archiego.

– Hej. Tu Josh.

Zapadła cisza. Zwykle takie słowa były sygnałem, żeby Ralph przekazał słuchawkę Archiemu, ale teraz nic takiego nie nastąpiło.

– Halo? – upomniał się Josh.

– No halo – burknął Ralph. – Czekam.

– Na co?

– Na wiarygodną wymówkę. Co tym razem? Zatrzasnął się w kiblu? Wiem, że poderwał wczoraj jakąś pannę i pewnie nie może się dobudzić, ale i tak dam ci szansę wybronić kumpla. No? – ponaglił zaszokowanego mężczyznę Ralph. – Gdzie twoja kreatywność, młokosie?

– Archie nie przyszedł do pracy? – zapytał Josh, marszcząc brwi.

– Ano nie przyszedł. Że niby nie wiesz?

– Nie. Nie widziałem go od wczoraj.

– No to wymówki nie ma – stwierdził szorstko Ralph. – Gówniarz sam będzie musiał się tłumaczyć. I zostać dłużej, bo ja drugiej pary rąk sobie nie wyhoduję. Przekaż mu to, jak już go zobaczysz.

– Dobrze – odparł mechanicznie Josh, odkładając słuchawkę.

Ogarnął go niepokój. Wbrew słowom Ralpa, Archie nie miał w zwyczaju olewać roboty. Josh wręcz nie mógł tego robić, bo wylaliby go na zbity pysk. Może raz czy dwa zdarzyło im się wziąć wolne po nieco przeciągniętej imprezie i faktycznie wymyślali wtedy jakieś bzdury, ale to było dobrych parę lat temu. Archie traktował pracę poważnie. Wiedział, że ten pijaczyna wiele bez niego nie zdoła.

Podejrzewając, że partner albo porządnie zasnął albo zachorował po wczorajszym staniu na deszczu, zaczął wykręcać numer do domu Evansów, jednak w tym momencie pojawił się menadżer.

– Josh. Koniec przerwy – zarządził.

– Jeszcze dwie minutki, dobra? – poprosił Josh. – Muszę pilnie zadzwonić.

– Kierownik przyjechał, więc lepiej rusz tyłek – zagroził Peter, a wobec takich argumentów, Josh zmuszony był skapitulować i powlec się z powrotem na halę.

Skończył pracę o piętnastej. Wskoczył na rower i pojechał prosto do Evansów. Mieszkali kilka kilometrów dalej od niego, więc musiał odbić w Maple Street. Tamtędy było najszybciej. Gdy zjawił się na miejscu, drobny, pomarszczony pan Evans siedział na ganku, popalając fajkę.

– Dzień dobry, panie Evans! – krzyknął Josh, zostawiając rower pod płotem i ruszając w stronę domu.

– Dzień dobry – odpowiedział mu pan Evans, jak zwykle bez szczególnego entuzjazmu. Josh zawsze miał wrażenie, że ojciec Archiego za nim nie przepada. Archie twierdził, że to nieprawda i jego tata jest po prostu bardzo powściągliwy. Tak czy inaczej, Josh czuł się tu mile widziany.

Z domu wyszła pani Evans.

– Widzisz? – rzuciła do męża. – Mówiłam, że nie ma się co martwić.

Słyszając te słowa, Josh raptownie przystanął. Już wiedział, że nie jest dobrze.

– Archie jest z tobą, prawda? – dopytała pani Evans, dostrzegłszy reakcję mężczyzny.

– Nie... – przyznał z niepokojem Josh. – Myślałem, że jest tutaj.

Pani Evans zbladła. Spojrzała na męża. Twarz pana Evansa stężała.

– Nie wrócił wczoraj? – dopytał Josh. – To znaczy dzisiaj? W nocy?

– Nie. Może pojechał prosto do warsztatu? Zadzwoń do Ralpa – zdecydowała pani Evans, wracając do domu.

Josh zagryzł nerwowo dolną wargę. Wiedział, co usłyszy kobieta, ale nie miał pojęcia, jak jej to przekazać, więc tylko skinął głową panu Evansowi, po czym wsiadł na rower i pojechał do domu.

Zastał rodziców w salonie.

– No wreszcie! – zawołała z nutą rozdrażnienia matka. – Gdzie się podziewałeś?

– Byłem u Archiego – odrzekł Josh.

– Spodziewałaś się innej odpowiedzi? – zakpił jego ojciec.

– Nałożę ci obiad – stwierdziła matka.

– Nie chcę – odparł Josh, ale rodzicielka i tak udała się do kuchni. Podszedł do ojca, który oglądał coś w telewizji. – Tato... Chyba coś złego stało się z Archie.

Nie przekazywał mu tej informacji ot tak, by podzielić się zmartwieniem. Ojciec Josha był szeryfem. Jeśli ktoś mógł coś zrobić, to właśnie on.

– Co złego? – zapytał ojciec, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Nie wrócił na noc do domu. Nie ma go też w pracy. Nikt nie widział go od wczoraj.

– I? Może zabawił u jakiejś dziewczyny.

Josh poczuł, jak jego ciało się napina.

– Mówię poważnie – warknął.

– Ja też. Przecież byliście razem na tym hałaśliwym koncercie. Pewnie się upił i gdzieś odsypia.

– Nie pił – zaoponował twardo Josh. – Odwoził mnie do domu. W trakcie drogi padło mu auto. Został, żeby je naprawić, a ja wróciłem z Nickiem. Od tamtej pory, nikt nie widział Archiego.

– A dzwoniłeś do Nicka? – mruknął ojciec. – Może po niego wrócił. W końcu zaczęło łąć.

Archie zmarszczył brwi.

– W sumie możliwe – przyznał i nieco uspokojony, poszedł do swojego pokoju. Odnalazł notes z kontaktami, a moment później wykręcał już numer Bakera.

– Halo? – odebrała jego dziewczyna, Alice.

– Cześć, tu Josh. Mogę pogadać z Nickiem?

– Jasne, chwilka. Nick! – wykrzyknęła kobieta.

– Jestem zajęty! – Padła stłumiona odpowiedź Nicka.

– Oddzwoni później, dobrze? – zapytała Alice.

– To pilne – rzucił pospiesznie Josh. – Proszę.

– Nick! Josh mówi, że to pilne!

– Moment!

Minęły dwie minuty, nim Nick w końcu chwycił za słuchawkę.

– Hej, Josh, wybacz, ale teraz trochę...

– Jest u ciebie Archie? – przerwał mu Josh.

– Archie? – zdumiał się Nick. – Nie. Dlaczego miałby być?

– A widziałeś się z nim wczoraj? To znaczy po tym, jak już mnie odwiozłeś?

Nick milczał przez moment.

– Nie – odparł w końcu, sprawiając wrażenie zdezorientowanego. – A co się stało?

– N-Nic. – Głos Josha zaczął się łamać. – Po prostu nie wrócił do domu i...
Nieważne. Cześć.

Zakończył połączenie, nie czekając na odpowiedź, a następnie wrócił do salonu.

– Tato, nie ma go u Nicka – oznajmił.

– No to pewnie przenocował u kogoś innego.

– Niby u kogo? – prychnął Josh. – Więcej kolegów nie mamy.

W szkole średniej kumplowali się z wieloma osobami, ale zdecydowana większość z nich wyjechała, na studia, do pracy, czy by założyć rodzinę z dala od tego wysypiska uprzedzeń. Kontakty się pourywały.

– W tym mieście są same znajome gęby, a nikt normalny nie zostawiłby chłopaka w taką pogodę – przekonywał ojciec, wyraźnie nie rozumiejąc powagi sytuacji. – Wczoraj padało tak bardzo, że nie mogliśmy zmrużyć oka.

– Dzięki synkowi, który obudził nas wracając – wtrąciła matka, wracając do salonu. – Obiad czeka w kuchni.

– Tato. – Josh zignorował rodzicielkę. – To nie jest normalne. Archie już by do mnie zadzwonił.

– Wiesz, co nie jest normalne? – wymamrotał ojciec, rozdrażniony faktem, że syn przerywa mu oglądanie ulubionego programu. – Dwóch dorosłych facetów, nierozłącznych jak syjamskie bliźnięta! Nie przyszło ci czasem do głowy, że chłopak chciał mieć od ciebie trochę spokoju? Zająć się dziewczyną?

– Nie ma dziewczyny – warknął Josh.

– O tym właśnie mówię, może wreszcie sobie jakąś znalazł. Mógłbyś pójść jego śladem.

– I co? Zaginać? – wycedził przez zęby Josh, po czym ruszył do wyjścia.

– A ty dokąd?! – zawołała matka. – Obiad czeka!

Rozwścieczony do granic możliwości, trzasnął drzwiami, wsiadł na rower i pojechał. Skręcił w Autumn Avenue. To była rzadko uczęszczana droga. Cóż, Archie prawie codziennie jeździł nią do warsztatu, ale z centrum i z powrotem szybciej było przemieszczać się innymi trasami. Wczoraj wybrali tę, bo wiedzieli, że pozostałe będą zakorkowane.

W pewnym momencie dostrzegł Sally. Stała na poboczu, tam, gdzie widział ją po raz ostatni. Zrobiło mu się tak słabo, że prawie upadł. Zatrzymał się i zsiadł z roweru, a następnie zbliżył do auta. Wątpił, że Archie mógł spać w środku, szybko umarła. Samochód był pusty, ale na szczęście zamknięty, co wskazywało, że Archie go tu zostawił. Oznaczało to jednak, że nie zdołał naprawić auta. Pewnie nie zdążył. Zaczęło lać. Uświadomił sobie, jak fatalną podjął decyzję, a że nie napotkał już żadnego znajomego, zdecydował się pójść piechotą. Czyli wzdłuż drogi albo...

Josh z bijącym jak oszalałe sercem zbliżył się do stromego zbocza i spojrzał w dół. Umysł podpowiadał mu najczarniejsze scenariusze, jednak niczego nie zobaczył. Mimo to, istniało prawdopodobieństwo, że Archie poszedł lasem. Gdyby trzymał się

drogi, dotarłby do domu w ciągu półtorej godziny. Przez las poszłoby mu znacznie szybciej. Obaj dobrze znali ten teren, ale tylko kretyn decydowałby się na podobne wycieczki nocą i to przy takiej ulewie, jednak istniało prawdopodobieństwo, że gwałtowny deszcz złapał go już w trakcie podróży. Miał latarkę. Może zaczęło kropić, a on chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. A później stracił orientację w terenie albo się przewrócił i...

Josh sam już nie wiedział, lecz ruszył wzdłuż zbocza, szukając najmniej stromego spadku. Wreszcie udało mu się znaleźć odpowiednie miejsce i zaczął schodzić. Niestety, w połowie drogi, nasączona deszczem, wilgotna ziemia usunęła mu się spod stóp, przez co sturlał się na dół, ale niezrażony ruszył dalej.

– Archie! – zawołał. – Archie!

Raz po raz wykrzykiwał imię partnera, kierując się coraz głębiej w las. Szedł taką trasą, jaką kierowałby się zmierzając do domu Evansów, rozglądając się i nawołując. Gdy dotarł na miejsce, zawrócił. Kiedy wspiął się na Autumn Avenue, wokół panował mrok. Nie znalazł ani Archiego, ani najmniejszego śladu jego obecności.

Wsiadł na rower i popędził do domu.

– Jezu, Josh! – zawołała rodzicielka, gdy tylko przekroczył próg. – Wyglądasz jak nieboskie stworzenie! Przepraszam, Cynthia, oddzwonię – wymamrotała do słuchawki.

– Tato. – Josh przeszedł do salonu, nie zdejmując ubłoconych butów, co wywołało u jego matki pełen oburzenia okrzyk. – Miałem rację. Z Archiem coś się stało.

Drżały mu wargi. Z trudem powstrzymywał się od płaczu.

– A ty znowu swoje – mruknął z dezaprobatą ojciec.

– Jego samochód stoi wciąż w tym samym miejscu.

– Czyli gdzie?

– Na poboczu Autumn Avenue! – syknął z rozdrażnieniem Josh. Czy ojciec w ogóle go słuchał?

– I co z tego? Mówiłem, że chłopaka ktoś podwiózł.

– Dochodzi dwudziesta druga! – zauważył Josh. – Dawno dałby mi znać, że coś się stało! A nawet jeśli nie, nie zostawiłby Sally. Uwielbia ten wóz. Odholowałby go, zamiast ryzykować, że ktoś go ukradnie czy zniszczy.

– Dramatyzujesz.

Josh był na skraju wytrzymałości. Zacisnął dłonie w pięści i warknął:

– Jesteś, kurwa, policjantem, zapomniałeś?

– Josh! – zawołała matka.

– Słucham? – wycedził przez zęby ojciec, posyłając synowi groźne spojrzenie.

– Zrób coś, zamiast pieprzyć od rzeczy! – wykrzyknął Josh.

– Nie tym tonem, chłopcze! – przestrzegł szeryf. – Owszem, jestem policjantem i mam na głowie ważniejsze rzeczy od rzekomych zaginięć młodych gnojzków, którzy znajdują się na drugi dzień, zwykle po tym, jak wytrzeźwieją i skończy im się odlot. Mam na głowie serię włamań i brutalny gwałt, do którego doszło na pograniczu hrabstwa, a raczej znalezienie bydlaka, który się go dopuścił! To są istotne, wymagające uwagi sprawy!

– A co jeśli jakiś bydlak zrobił coś Archiemu? – rzucił łamiącym się głosem Josh.

– Co wtedy?!

– Na litość boską! – Ojciec uderzył pięścią w oparcie fotela. – Nic mu nie jest! Zresztą w takich sytuacjach kierujemy się jasnymi zasadami! Zgłoszenie zaginięcia uznawane jest za zasadne po upływie czterdziestu ośmiu godzin. Nie minęły nawet dwadzieścia cztery! Wiesz ile takich spraw widziałem?! Mogę się założyć, że jutro wpadnie tu jak gdyby nigdy nic, a ty odszczekasz wszystko, co powiedziałeś!

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– O takiej porze? – szepnęła z niepokojem matka, nim poszła otworzyć. – Och. Witaj, Martho. – Obu mężczyzn dobiegł jej pełen zaskoczenia głos. – Wejdz.

Archie posłał ojcu wymowne spojrzenie. Obaj widzieli, czego dotyczyła wizyta Marthy Evans.

Matka Archiego weszła do salonu.

– Dobry wieczór – przywitała się z obecnymi. Miała zaszklone oczy i była roztrzęsiona. – Przepraszam, nie chciałam was nachodzić. Dzwoniłam, ale było zajęte.

– Moja żona przeprowadziła się tu, żeby uciec od siostry, a teraz nie może przestać z nią rozmawiać – rzekł z ciężkim westchnieniem ojciec, wstając. – O co chodzi?

– Archiego u was nie ma, prawda? – zapytała słabo pani Evans.

Ojciec odchrząknął cicho. Sprawiał wrażenie niespokojnego, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że słowa syna mogły mieć więcej wagi, niż przypuszczał.

– Nie wrócił na noc – dodała płaczliwie pani Evans. – Dzwoniłam do warsztatu, ale Ralph go nie widział. Rozpytywałam sąsiadów. Nikt nic nie wie. Boję się... Boję się, że coś mu się stało.

– Martho, wiesz, jacy są chłopcy – powiedział szeryf, siląc się na swobodny ton. – Byli na koncercie, pewnie popili, może zadał się z jakąś dziewczyną i jeszcze odsypia ciężką noc albo zastanawia się nad przekonującym wytłumaczeniem.

– Archie taki nie jest – zaoponowała ostro pani Evans. – Dobrze wiesz, że Ted umiera. Sądzisz, że Archie naraziłby go na taki stres? To już nie jest bezmyślny nastolatek, lecz odpowiedzialny mężczyzna.

Ojciec sprawiał wrażenie skrępowanego. Dopiero wtedy uwaga pani Evans skupiła się na Joshu. Niedowidząca kobieta zmrużyła oczy, po czym szepnęła wstrząśnięta:

– Co się stało, Josh? Dlaczego tak wyglądasz?

Josh nie odpowiedział, a jedynie spojrzał na ojca.

– Znalazł samochód Archiego – wyjaśnił niemrawo szeryf.

– Jak to znalazł? – Przeraziła się pani Evans. – Gdzie?

– Na Autumn Avenue – powiedział Josh. – Auto padło, gdy wracaliśmy. Mnie odwiózł Nick. Archie nie chciał jechać. Powiedział, że poradzi sobie z naprawą. Wtedy widziałem go po raz ostatni – wydusił przez zaciśnięte gardło.

– O Boże... – Pani Evans chwyciła się za serce i usiadła na kanapie.

– Nie ma powodów do paniki – upierał się ojciec. – Może chłopaka ktoś podwiózł.

– I co? Przetrzymuje przez cały dzień? – szepnęła pani Evans.

– Czas szybko ucieka w dobrym towarzystwie. Alkohol, dziewczyna...

Pani Evans, będąc najłagodniejszą kobietą, jaką znał Josh, posłała roslemu mężczyźnie, szeryfowi Roselake takie spojrzenie, pod wpływem którego ten aż się zgarbił.

– Mój syn... – wycodziła przez zęby. – nie zostawiłby swojego auta pośrodku niczego... i nie zniknął na cały dzień, bez informowania mnie, Ralpa i Josha. Nie jest taką osobą. Powinieneś o tym wiedzieć – dodała z żalem.

Ojciec wpatrywał się w panią Evans przez krótką chwilę, po czym poszedł na przedpokój. Wrócił, nakładając kurtkę.

– Chodźmy, Martho – powiedział.

– Dokąd?

– Pojedziesz ze mną na komisariat i złożysz zawiadomienie o zaginięciu syna.



Rano o zniknięciu Archiego wiedzieli już chyba wszyscy w okolicy. Sąsiadka, która pojawiła się u progu ich domu pod pretekstem pożyczania soli, z ekscytacją dopytywała o szczegóły sprawy. Nic dziwnego. W takiej miejscinie wieści szybko się roznosiły, zwłaszcza, że Evansowie byli dobrze znani. Nim pan Evans zachorował, był leśniczym, a przy tym złotą rączką – wszyscy w sąsiedztwie wiedzieli, że jeśli coś się popsuło, najlepiej iść do niego, zwłaszcza, że rzadko oczekiwał jakiegokolwiek zapłaty. Pod tym względem Archie bardzo wdał się w ojca – obaj zbyt często pomagali bez odpowiedniej rekomensaty, co czasem doprowadzało Josha do białej gorączki. Pani Evans nie pracowała, ale udzielała się społecznie. Oboje mieli szerokie grono przyjaciół.

Ojciec wrócił dopiero po siódmej. Josh wraz z matką niecierpliwie oczekiwali na jego przybycie. Żadne z nich nie zmrużyło oka.

– I co? – zapytał natychmiast Josh, patrząc na strapioną twarz ojca.

– Nic. Wszczęliśmy dochodzenie – oznajmił lakonicznie szeryf, zdejmując buty.

– Przecież mówiłeś, że musi minąć czterdzieści osiem godzin.

– Zwykle tak, ale nie w tej sytuacji.

– Ponieważ? – rzucił z napięciem Josh, marszcząc brwi.

– Są przesłanki wskazujące na to, że do zniknięcia Archiego mogły się przyczynić osoby trzecie – odpowiedział ojciec, nie patrząc mu w oczy.

Przez kręgosłup Josha przebiegł zimny dreszcz.

– Co to znaczy? – zapytał natychmiast, ale ojciec nie kwapił się z odpowiedzią.
– Co to znaczy, tato?! – ponaglił go nerwowo.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł twardo szeryf. – Dopiero zaczynamy śledztwo, a ty jesteś jednym z istotnych świadków. Jedź na komisariat. Henry Carlson cię przesłucha. Ja nie mogę tego zrobić. Nie chcę, by później zarzucono mi, że obszedłem się łagodnie z synem.

– Carlson? – wtrąciła ze zdumieniem matka. – Przecież to młodziak. Dopiero co zaczął służbę.

– Reszta ludzi jest w terenie – odpowiedział ojciec.

– W lesie? – podchwycił Josh. – Szukają go?

– Dość. Jedź na komisariat i powiedz wszystko, co wiesz.

– Już ci powiedziałem wszystko, co wiem! – wybuchnął Josh.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale i tak musisz to zrobić. Chodzi o formalności.

– Tak? – Josh uśmiechnął się gorzko. – Może gdybyś nie przejmował się *formalnościami* i zaczął go szukać, kiedy ci powiedziałem, że coś jest nie tak, już by tu z nami był!

Powiedziawszy te słowa, nałożył buty, a następnie opuścił dom, trzaskając drzwiami. Wiedział, że ojciec ma wyrzuty sumienia, ale i tak nie mógł się powstrzymać. Był rozżalony. I wściekły. Nie tylko na ojca, ale i na samego siebie. Dlaczego nie zadzwonił do Evansów z samego rana, by upewnić się, że Archie dotarł bezpiecznie do domu? Dlaczego w ogóle go zostawił? Nie wybaczy sobie, jeśli coś mu się stanie.

Wsiadł na rower i pognął do miasta. Jeszcze wczoraj, gdy wyobrażał sobie, że Archiemu nic nie jest, że niezależnie od tego, jak bardzo wydawało się to nieprawdopodobnie, faktycznie zasiedział się u kogoś i lada moment wróci, postanowił, że w takiej sytuacji, nigdy więcej się do niego nie odezwie. Dziś zmienił zdanie. Wybaczyłby mu natychmiast. Wszystko. Nawet gdyby okazało się, że był z jakimś gościem. Po prostu pragnął wiedzieć, że jest bezpieczny.

Przesłuchanie trwało jakieś pół godziny, chociaż przez większość czasu to Josh zadawał pytania. Carlson trochę wzbraniał się przed odpowiedziami, ale zdecydowanie nie tak stanowczo, jak ojciec. Zresztą chyba niezręcznie było mu odmawiać synowi szeryfa, więc podzielił się z Joshem kilkoma informacjami.

Kiedy Josh opuścił pokój przesłuchań, jego ojciec był już na komendzie. Wchodził akurat do swojego gabinetu, więc Josh natychmiast podążył za nim.

– Co miałeś na myśli mówiąc o zaangażowaniu osób trzecich? – zapytał raz jeszcze, gdy tylko zamknął za sobą drzwi.

– Nic nie mogę ci powiedzieć – upierał się ojciec.

– Carlson mi powiedział. Powiedział, że nie znaleźliście krwi ani żadnych śladów bójki. – Ta wiadomość podniosła Josha na duchu. – Tylko odciski obuwia. Podobno trzy różne rodzaje. Jedenastki, czyli pewnie moje, dwunastki Archiego oraz jednaście i pół, które mogło należeć do kogokolwiek i nie musi być związane ze sprawą.

– Na litość boską! – syknął z rozdrażnieniem szeryf. – Carlson ma szczęście, że brakuje mi ludzi, bo inaczej już by wyleciał! Przecież możesz być jednym z podejrzanych.

– Słucham?! – obruszył się Josh. – Sądysz, że zrobiłem coś Archiemu?

– Wiem, że nie zrobiłeś, ale to śledztwo. Rządzi się swoimi prawami, ma swoje procedury. Nie wszystkie informacje mogą być dostępne dla opinii publicznej, rozumiesz?

Josh wziął głęboki oddech, usiłując się uspokoić.

– Tato... – szepnął w końcu wilgotnym głosem. – Ja odchodzę od zmysłów. Powiedz mi, co stało się z Archiem.

– Nie wiem – odparł ojciec, kręcąc głową. – Na ten moment nikt tego nie wie. Tamtej nocy bardzo padało. Deszcz mógł zmyć ślady. Zwłaszcza, że pojawiliśmy się na miejscu praktycznie dwadzieścia cztery godziny później.

– I czyja to wina? – zapytał z żalem Josh.

– Gdybym wszczynał alarm, ilekroć ktoś przychodzi i mówi, że jego kolega, córca czy braciszek nie wrócili na noc do domu, komisariat nie zajmowałby się niczym innym, jak tylko szukaniem uciekinierów i imprezowiczów.

– Archie tak nie jest. Mówiłem ci.

– Każdy tak mówi.

– Ale ja miałem rację, prawda? – rzucił wyzywająco Josh.

Ojciec nie odpowiedział. Otworzył paczkę papierosów i podszedł do okna. Uchylił je i wtedy zaczął palić.

– Ale on wróci, prawda? – szepnął niepewnie Josh.

– Skąd mógłbym wiedzieć?

– Na pewno masz jakieś podejrzenia. Przecież od lat masz do czynienia z takimi sprawami.

– Jeśli dzieciak znajdzie się za parę dni, to tak, mam do czynienia z takimi sprawami. Jeśli nie... – Ojciec wydał z siebie głębokie westchnienie. – Ostatnie prawdziwe zaginięcie, jakie pamiętam, miało miejsce prawie dwadzieścia lat temu. Doris Carter. Nigdy jej nie znaleźliśmy.

Josh zagryzł nerwowo wargę. Coraz trudniej było mu panować nad emocjami. Kilka łez spłynęło po jego policzkach. Otarł je ukradkiem, ale ojciec i tak musiał zauważyć, bo zaczął łagodniej:

– Co do podejrzeń... Pierwsze jest takie, że chłopakowi nic nie grozi i po prostu stroi sobie z nas żarty, ale to nie w jego stylu, co tak uparcie podkreślasz. Pozostałe są mniej optymistyczne. Nie wracał swoim autem, więc możliwe, że ktoś go podwiózł. Jeśli tak, ta przejażdżka najwyraźniej nie skończyła się dobrze. Istnieje też prawdopodobieństwo, że usiłował wrócić do domu o własnych siłach, lasem lub drogą. Jeśli lasem, mógł zgubić się w momencie ulewy. Może leży gdzieś, zziębnięty, wyczerpany i, miejmy nadzieję, żywy. Mógł też wracać drogą...

– I co? Też się zgubić? – prychnął Josh.

– W takim wypadku stawiałbym na potrącenie – oznajmił ojciec, a Josh poczuł, jak coś zaciska się na jego żołądku. – Ulewa i ciemność to recepta na drogową katastrofę. Ktoś go nie zauważył albo stracił panowanie nad kierownicą. Później próbował pozbyć się...

– ... ciała? – podchwycił Josh. Nie kontrolował już łez. Cały się trząsł.

– Problemu – sprostował ojciec, ale Josh nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż nie to chciał z początku powiedzieć. – Może podrzucił chłopaka gdzie indziej albo zawiózł do szpitala w którymś z pobliskich miast. Może sam usiłuje doprowadzić go do porządku. Scenariuszy jest wiele. Tamten koncert ściągnął sporo przejezdnych. Na ten moment nie mamy nic pewnego.

Josh spuścił wzrok. W jego umyśle kłębiły się same czarne scenariusze. Nie chciał o nie dopytywać.

Ojciec dopalił papierosa, po czym podszedł do syna i położył dłoń na jego ramieniu.

– Moi ludzie już przeszukują las, ale o trzynastej rozpoczną się zbiorowe poszukiwania – oznajmił, a Josh podniósł na niego pełen zdumienia wzrok. – To inicjatywa pani Hill, waszej dawnej wychowawczyni. Ma niewiele czasu, ale podobno znalazła już masę chętnych. To dobry pomysł. Kilku funkcjonariuszy nie przeczesze całego terenu przed zapadnięciem zmroku, a w tej sytuacji każda godzina ma olbrzymie znaczenie. Powinieneś dołączyć. O ile czujesz się na siłach.

Josh pokiwał głową. Oczywiście, że dołączy. Pożegnał się z ojcem, po czym opuścił posterunek i wsiadł na rower. Po chwili zastanowienia, postanowił udać się do domu Evansów.

Jakiś czas później był już na miejscu. Zapukał do drzwi. Czekał długą chwilę, ale wreszcie dobiegły go kroki, a później ktoś mu otworzył.

Ten ktoś...

Serce Josha przyspieszyło gwałtownie, by równie szybko zwolnić, gdy jego umysł zarejestrował wreszcie, na kogo patrzy.

– Bill – szepnął, nie będąc w stanie ukryć rozczarowania. – Wróciłeś?

Stał przed nim Bill Evans, starszy brat Archiego. Dzieliło ich od siebie pięć lat. To dziwne, ale kiedyś Josh nie widział w nich ani krztyny podobieństwa, za to teraz, przez ułamek sekundy, sądził, że w drzwiach stoi Archie. Bill wciąż był większy od brata, wyższy, umięśniony, o szerokich ramionach i szczęce. Poza tym mieli jednak te same, gęste, czarne włosy i oczy w kolorze stali. Te należące do Archiego zawsze były ciepłe, podczas gdy spojrzenie Billa mroziło krew w żyłach.

Gdyby ktoś zapytał go lata temu o charakterystykę Billa Evansa, Joshowi wystarczyłyby zaledwie trzy określenia: olbrzymi, wredny i skłonny do agresji.

– Nie – odparł niskim głosem Bill.

– Co? – rzucił bez zrozumienia Josh.

– Jakie pytanie, taka odpowiedź. Czego chcesz?

Josha zamurowało. To nie były odpowiednie okoliczności na takie teksty.

– Słyszałem, że o trzynastej mają przeszukiwać las – odpowiedział w końcu cicho. – Pomyślałem, że pomogę w przygotowaniach.

– Nie my to przygotowujemy.

– Tak, ale... Na pewno mogę się jakoś przydać.

Chciał po prostu okazać Evansom wsparcie.

– Zjeżdżaj – warknął nieoczekiwanie Bill.

– Słucham?

– Nie przychodź tu więcej. Na poszukiwaniu też się nie pojawiaj.

– O czym ty mówisz? – obruszył się Josh. – Oczywiście, że się pojawię. Archie jest moim przyjacielem, muszę...

– Przyjacielem? – przerwał mu ostro Bill.

Josh zbladł. Pamiętał dobrze, jak Bill nakrył ich razem. Mieli wtedy jakieś czternaście lat. Tylko się całowali. Bill dostał szału. Sprzał Josha tak bardzo, że ten ledwie mógł się ruszać, a co najgorsze, musiał udawać, że wszystko jest w porządku, bo bał się, że gdy powie, co się wydarzyło, wyjdzie na jaw motyw Billa. Archiemu na szczęście się nie oberwało. Na niego Bill nigdy nie podnosił ręki, chociaż surowo zakazał mu widywania się z Joshem. Ten zakaz był niemożliwy do spełnienia, bo chodzili do jednej klasy, zresztą szybko doszli do wniosku, że nie zamierzają go respektować. Josh bał się kolejnego pobicia, ale niecały rok później, Bill spakował manatki i wyjechał. Podobno pokłócił się z ojcem. Archie nigdy nie wdawał się w szczegóły. Tak czy inaczej, od tamtej pory, Josh nie słyszał o Billu.

– Obaj wiemy, w jaki sposób wyglądała wasza przyjaźń – dodał szorstko Bill.

– I co z tego? – syknął Josh, zbierając w sobie odwagę. – Naprawdę sądzisz, że to właściwy moment, żeby roztrząsać takie rzeczy?

– Nie. I właśnie dla tego, z uwagi na dobro mojego brata, nie pokażesz mi się więcej na oczy.

– Bo co? – warknął Josh.

– Bo w przeciwnym wypadku wszyscy się dowiedzą – zagroził Bill. – A tego byś nie chciał.

– Bill! – Rozległ się głos pani Evans. – Kto przyszedł?

Bill spojrzał na Josha z góry i zapytał lodowato:

– To jak będzie?

– Świnia – oznajmił z żalem Josh, po czym się wycofał.

Wsiadł na rower i odjechał. Najpierw zmierzał w stronę domu, ale w połowie drogi przyszło mu do głowy coś innego. Ruszył do położonego na obrzeżach miasta warsztatu.

– Ralph! – zawołał, gdy tylko znalazł się w niewielkim, cuchnącym alkoholem budynku. – Halo! Jest tu kto?

Przez drzwi zaplecza wytoczył się Ralph Mayers.

– Chwila... Chwila... - Mamrotał, wycierając twarz i poprawiając włosy. Najwyraźniej usiłował wyglądać normalnie, chociaż gołym okiem widać było, że zapł. Nic nowego. Archie miał z nim same problemy. – Czego trzeba? A, to ty – odnotował po chwili Ralph. – Przylazłeś do roboty za Evansa? Na autach to się chyba nie znasz, co?

– Jeszcze nie słyszałeś? – zdziwił się Josh.

– Niby o czym? – wybełkotał Ralph.

– Archie zaginął.

– Chyba między nogami jakiejś panny – odparł mechanik i zaśmiał się chrypliwie z własnego żartu.

Archie zacisnął dłonie w pięści. Poczul, jak ogarnia go złość.

– Mówię poważnie – wycodził przez zęby. – Policja go szuka. Właściwie wszyscy go szukają.

– Co ty opowiadasz? – burknął nieprzytomnie Ralph.

– Że Archie zniknął! – wykrzyknął w desperacji Josh. – Wylej sobie na łeb kubek zimnej wody, to może otrzeźwiejesz i w końcu do ciebie dotrze!

– Zniknął, zniknął – powtórzył lekceważąco Ralph, machnąwszy dłonią. – Pewnie zabawił gdzieś z jakąś dziewczyną i tyle.

Ta uwaga pozbawiła Josha resztki zahamowań. Rzucił się na starego pijaka i przycisnął go gwałtownie do ściany, zaciskając palce na połach jego koszuli.

– On nie ma żadnej dziewczyny! – wrzasnął. – Nie ma żadnej dziewczyny, słyszysz?! On taki nie jest! Archie taki nie jest! Zapamiętaj to sobie!

– Zabieraj te łapska! – Ralph odepchnął go od siebie. – Wynocha mi stąd!

Josh cofnął się o parę kroków. Wziął głębszy oddech, starając się opanować.

– Przepraszam – rzucił w końcu. Zależało mu na tym, by porozmawiać z Ralphem. Archie spędzał tu sporą część dnia. Jeśli wydarzyło się coś, o czym nie wiedział Josh, to właśnie tutaj. – Ale Archie naprawdę zaginął i... Po prostu chcę zadać kilka pytań – wyjaśnił pojednawczo. – Policja pewnie i tak to zrobi.

– Policja? – mruknął Ralph.

– Tak, policja, przecież mówię! – Jak mógł nie wkurwiać się na tego gnojka?

– Myślałem, że chłopak znalazł sobie lepszą fuchę, a tu takie rzeczy?

– Gdyby miał taki zamiar, dawno by to zrobił – oznajmił chłodno Josh. Od miesięcy powtarzał Archiemu, żeby założył własny warsztat. Wszyscy w mieście wiedzieli, że to on zajmuje się naprawami. Temu pijaczynie za bardzo trzęsły się ręce. – Zresztą by ci powiedział. Czy kiedykolwiek olał robotę bez słowa wyjaśnienia?

– Ja tam nie wiem, nie pamiętam – odparł lekceważąco Ralph. – To czego ty właściwie chciałeś?

Josh potrzebował chwili, by wziąć się w garść.

– Czy Archie miał jakąś robotę na boku? – zapytał w końcu. – W sensie, może naprawiał u kogoś auto? U kogoś, do kogo mógł pojechać bezpośrednio przed rozpoczęciem pracy?

– Jeśli miał, to bez mojej wiedzy. Samochody sprowadza się do warsztatu. Każdy o tym wie.

– A czy... Czy Archie miał jakieś problemy? Może z niezadowolonym klientem? Ktoś mu się odgrażał?

– Skąd miałbym wiedzieć? – burknął Ralph. – Nie sądzę. Gówniarz był dobry, chociaż kto go tam wie. Może komuś podpadł. Zadawał się z męzatkami, czy coś. Tym młokosom tylko jedno w głowie.

Josh miał przemożną ochotę zdzielenia Ralpha w jego zapijaczoną mordę.

– Archie taki nie był, mówiłem już. A ty powinienes się modlić, żeby wrócił, bo inaczej cały ten twój interes trafi szlag – warknął, dochodząc do wniosku, że i tak niczego się tu nie dowie.

– Że co?! – obruszył się Ralph. – Wypraszam sobie! Ten warsztat istniał na długo, zanim go zatrudniłem i to na pewno się nie zmieni!

– Gdy jedyny mechanik będzie leżał pijany pod stołem? Akurat – prychnął Josh.

– Wynocha mi stąd! – wrzasnął rozwścieczony słowami mężczyzny Ralph. – Będzie mnie obrażał, gnojek jeden! A idź w cholere!

Poszedł, a właściwie pojechał prosto do domu. Na miejscu nikogo nie było. Ojciec zapewne wciąż tkwił na komendzie, a matka poszła pomóc w przygotowaniach do poszukiwania. A on? Dochodziła dwunasta. Jeśli zamierzał wziąć udział, powinien się ruszyć. Naprawdę miał zrezygnować z czegoś tak ważnego przez pogroźki pieprzonego Billa Evansa?

Nie. Niech Bill wykrzyczy to całemu miastu, jeśli ma ochotę. Dla Josha liczyło się przede wszystkim znalezienie Archiego.

Ruszył wzdłuż Autumn Avenue. Tak jak podejrzewał, cały komitet zebrał się parę metrów od miejsca, w którym znaleziono auto Archiego – lokację oznaczono policyjną taśmą, chociaż po samej Sally nie było już śladu. Musiała zostać odholowana.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – rzuciła panna Hill. – Jesteśmy tu dla Archiego Evansa, wspaniałego ucznia i kochanego syna. – Na ulicy zgromadziło się spore grono. Jakies sto osób, może nawet więcej. – Wierzę, że Archie znajdzie się cały i zdrowy, ale by sami nie ucierpieć, musimy pamiętać o pewnych zasadach. Po pierwsze...

Dostrzegł stojącą nieopodal pani Hill rodzinę Evansów. Bill również go wypatrzył. Zmrużył oczy, po czym ruszył w stronę Josha. Josh przełknął nerwowo ślinę, oczekując ich spotkania, jednak w tym momencie dobiegł go znajomy głos:

– Cześć, Josh.

Obrócił się przez ramię, by dostrzec swojego menadżera. Cholera. Nawet nie zadzwonił, żeby dać znać, że go nie będzie.

– Cześć – odpowiedział cicho. – Ja...

– Wiem – przerwał mu Peter, uśmiechając się wyrozumiale. – Pogadałem z kierownikiem, masz dwa tygodnie wolnego. Nie zapłaci ci, wiadomo, ale przynajmniej będziesz miał czas dojść ze sobą do ładu. Po tym, jak już znajdziemy Archiego, rzecz jasna.

Josh uśmiechnął się blado.

– Dzięki – odpowiedział, po czym zerknął w stronę Billa. Evans wciąż spoglądał na niego surowo, ale najwyraźniej nie chciał publicznie pokazywać, jak wielkim jest skurwielem.

W końcu poszukiwania się zaczęły. Josh dostał wodę, suchy prowiant i latarkę, a następnie wyruszył. Pokażna grupa zaczęła dzielić się na mniejsze i rozchodzić w różnych kierunkach, koordynowana przez nauczycieli. Josh szedł za paroma dupkami, mniej więcej w jego wieku, którzy podśmiewali się pod nosem, nie wydając się jakkolwiek przejęci. Jednego z nich kojarzył – to był Justin Parker, sąsiad Archiego i syn jednego z policjantów. Josh zmrużył oczy i już zamierzał zwrócić im uwagę, ale wtedy dostrzegł kątem oka idącego za nim Billa. Przyspieszył kroku, zamierzając znaleźć się jak najdalej.

– Josh! – usłyszał wołanie i zaraz spostrzegł Nicka wraz z Alice. Natychmiast do nich podszedł. – Hej.

– Hej.

– Ale się porobiło, co?

Josh nie odpowiedział.

– Nie powinienem był go wtedy zostawiać – szepnął po chwili.

– Przestań, to nie twoja wina! – zaproponował Nick. – A gdyby... A gdyby tobie też coś się stało? – dopytał niepewnie.

– Tak byłoby lepiej – stwierdził Josh i wcale nie żartował.

– Nie gadaj bzdur!

– Nie martw się, Josh – powiedziała miękko Alice. – Jestem pewna, że znajdziemy Archiego.

Josh uśmiechnął się nikle, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. On również miał taką nadzieję.

Nadzieję, która umarła po przeszło ośmiu godzinach poszukiwań. Wrócili na Autumn Avenue. Kolejne grupki pojawiały się, jedna po drugiej. Większość nie znajdowała nic. Niektórzy przynosili ze sobą jakieś śmieci, coś, co ich zdaniem wyglądało na skrawki ubrania czy własność Archiego, ale Josh nie dostrzegał wśród tych przedmiotów nic znajomego.

Do domu wrócił całkowicie wyczerpany. Ojca nie było. Matka czekała z obiadem.

– Zjedz coś, Josh – powiedziała, przyglądając się synowi z niepokojem. – Na pewno jesteś głodny.

– Nie jestem – odmruknął Josh, po czym zatrzasnął się w sypialni.

Padł na łóżko i wtulił twarz w poduszkę. Jego ciałem wstrząsnął płacz.

Nie miał pojęcia, co robić.



Następnego dnia znowu zorganizowano poszukiwania, tym razem koncentrując się na wschodniej części lasu. Josh wziął udział w tym przedsięwzięciu, ale nie zaszedł daleko. Nie miał już nadziei, że znajdą tu Archiego. Zresztą nie on jeden – ochotników było więcej, jednak spora część z nich, zamiast na poszukiwaniach, koncentrowała się na komentowaniu całego wydarzenia i wymienianiu się teoriami odnośnie tego, co mogło spotkać Archiego. Josh naprawdę nie był w nastroju, żeby słuchać bredni ludzi, którzy znali Archiego z widzenia czy też zamienili z nim parę uprzejmości, więc wrócił do domu.

Wyczerpany po trzech niemal bezsennych nocach, szybko padł. Spał przez jakieś dwie godziny, nękany koszmarami, a gdy gwałtownie się budził, miał wrażenie, iż zniknięcie Archiego jest zaledwie jednym z nich. Kiedy docierało do niego, że to rzeczywistość, ogarniała go rozpacz. Nie miał jednak sił, więc zasypiał znowu i ten cykl ciągnął się aż do kolejnego poranka.

Zbudziły go dochodzące z kuchni hałasy. Josh przypuszczał, że odpowiadał za nie ojciec, który wrócił z pracy. W pierwszej kwestii się nie pomylił. W drugiej jak najbardziej – okazało się, że ten właśnie wychodził, a przecież minionego wieczora, gdy w chwili przytomności Josh rozmawiał z matką, ta skarżyła się, że nie widziała męża przez cały dzień.

– Cześć, tato – rzucił cicho Josh, stając w progu pomieszczenia.

– Cześć, Josh. – Ojciec na niego nie patrzył. Chyba nadal miał wyrzuty sumienia, że zignorował ostrzeżenia syna. – Wiem, co chcesz usłyszeć, ale nie będę ci dawał fałszywej nadziei. Na ten moment nic nie wiemy.

– Ale coś musieliście ustalić, prawda? – dążył Josh.

– Jak już mówiłem, tamtej nocy było tu wielu przejezdnych. To najbardziej prawdopodobny trop, jeśli zakładamy, że ktoś go porwał. – *Albo zabił*. Ojciec nie powiedział tego głośno, lecz te słowa wisiały w powietrzu i napawały Josha przerażeniem. – Jego zdjęcia wkrótce pojawią się w pobliskich miastach. Może ktoś coś widział.

Może. Ta niepewność, te wątpliwości... To doprowadzało Josha do obłądu.

– Muszę jechać, synu – rzucił ojciec, a Josh usunął się z przejścia – Do zobaczenia.

Niedługo później wstała matka. Josh zjadł z nią śniadanie, chociaż pod koniec posiłku chciało mu się rzygać. Nie był pewien, czy to kwestia przesolonej jajecznicy, czy tej cholernej, niezręcznej ciszy. Tak czy inaczej, doszedł do wniosku, że dłużej nie wysiedzi w domu. Wziął rower i pojechał w stronę Autumn Avenue. Po niecałych dziesięciu minutach, przemierzał już długą, felerną ulicę, zbliżając się do miejsca, w którym zostawił Archiego.

Nagle dostrzegł coś na mijanym drzewie. Zatrzymał się i obejrzał. To był prowizorycznie wykonany plakat, na którym widniało zdjęcie Archiego, zatytułowane: *Szukamy Archiego Evansa*. Pod fotografią znajdowała się prośba o informacje wraz z numerem kontaktowym posterunku. Josh przełknął nerwowo ślinę.

Ruszył dalej, ale za nic nie mógł wyrzucić z głowy tego obrazka i po kilkudziesięciu metrach zaczął raptownie tracić równowagę, aż wreszcie się przewrócił. Z trudem dźwignął się na nogi – nie zrobił sobie nic poważnego, po prostu znowu napadła go fala mdłości. Nie wsiadł już na rower. Zgięty w pół, prowadził go poboczem, oddychając nierówno.

W końcu dotarł do miejsca oznaczonego policyjną taśmą. Przystanął przy nim na chwilę, a następnie poszedł kawałek dalej. Oparł rower o drzewo i zbliżył się do skarpy, rozglądając się w poszukiwaniu wygodnego zejścia. Nagle dobiegł go jakiś szelest. Obejrzał się, a wtedy dostrzegł Billa Evansa.

Pieprzonego Billa Evansa, który właśnie mierzył do niego z pistoletu!

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknął z paniką Josh.

– Co *ty* wyprawiasz? – zapytał chłodno Bill, ale natychmiast opuścił broń, a następnie zabezpieczył ją i włożył do umiejscowionej na pasku kabury.

– Szukam Archiego.

– Już szukali. Nie ma go tu.

– Jego nie, ale mogą być jakieś dowody – wyjaśnił Josh. Po to właśnie przyjechał.

– Wskazujące na ciebie? – rzucił ku jego zaszokowaniu Bill. – Zamierzasz się upewnić, że nikt ich nie znajdzie?

– Sugerujesz, że zrobiłem coś Archiemu?! – warknął napastliwie Josh, ruszając w stronę Billa.

– Równie dobre wyjaśnienie, jak każde inne – odparł szorstko Bill, wzruszając ramionami. – Właściwie nawet lepsze. Jesteś jedną z dwóch osób, które widziały go ostatnie i jeśli mój brat miałby pojawić się gdziekolwiek bladym świtem to właśnie u ciebie.

– Ach, tak? – Josh uśmiechnął się kwaśno, przystając jakiś metr od mężczyzny i posyłając mu wyzywające spojrzenie. – Myślę sobie, że to cholernie dziwne, jak kogoś nie ma przez tyle lat, po czym pojawia się niespodziewanie zaraz po zniknięciu brata. Tym bardziej, gdy ten ktoś szwenda się z bronią w miejscu, w którym widziano go po raz ostatni! – dokończył, mrużąc oczy.

– To cudownie... – Bill był niewzruszony. – ale jak sam zauważyłeś, pojawiłem się po tym, jak zniknął Archie, więc nie bardzo rozumiem, w jaki sposób miałbym się do tego przyczynić.

– I przyjechałeś tak zupełnie przypadkiem? – syknął podejrzliwie Josh.

– Przekładem? Przyjechałem, bo powiedziano mi, co się stało.

– Niby kto ci powiedział?

– Rodzice.

– A później co, teleportowałeś się tu? – zakpił Josh, wydając z siebie głośne prychnięcie. – Z tego, co słyszałem, wylądowałeś niemal na drugim końcu kraju.

– Akurat byłem w okolicy.

– I twoi rodzice o tym wiedzieli? Mieli pojęcie, jak się z tobą skontaktować?

– Dodzwonili się do miejsca, w którym wcześniej mieszkałem, a tam podano im właściwe namiary. Koniec przesłuchania? – mruknął lodowato Bill.

Josh skrzyżował ręce na wysokości klatki piersiowej. Nie był pewien, czy kupował tę historyjkę. Z drugiej strony, jeśli nie była prawdziwa, nie wyobrażał sobie, by państwo Evans przyjęli pod swój dach Billa bez żadnych wątpliwości.

– Nie zrobiłem Archiemu krzywy i dobrze o tym wiesz – stwierdził w końcu Josh.

– Być może – przyznał Bill. – Za to nie miałeś skrupułów, żeby go tu zostawić.

Te słowa trafiły w miejsce, które bolało najbardziej – prosto w serce.

– Nie waż się, kurwa – warknął ostrzegawczo Josh.

– Nie było tak? Kto zostawiłby swojego przyjaciela w środku nocy i to w taką ulewę? Chociaż wy się nie przyjaźniliście, tylko pieprzyliście, więc może obowiązują was inne standardy.

W tym momencie Josh zapomniał.

Zapomniał, że Bill jest dwa razy większym, cholernie silnym gościem, który moment wcześniej groził mu bronią i, jak gdyby nigdy nic, przylutował mu w twarz. Bill ledwie się wzdrygnął. Otarł pękniętą wargę i uśmiechnął pokpiwająco, jakby chciał dać do zrozumienia, że go to nie obeszło. Więc bez zbędnego certolonia, Josh przyłożył mu raz jeszcze. Tym razem Bill się zachwiał.

A następnie mu oddał.

Josha aż zamroczyło, jednak udało mu się utrzymać równowagę. Zamachnął się raz jeszcze, ale Bill chwycił go za przedramię i wykręcił je boleśnie, a następnie odepchnął Josha.

– Nie masz tu czego szukać – oznajmił chłodno, odwracając się plecami.

To był błąd. Poważny błąd, bo wyprowadzony z równowagi Josh wcale nie zamierzał na tym kończyć. Z wściekłym okrzykiem rzucił się na Evansa.

Był gotów na wszystko – że Bill mu odda, że coś mu połamie, nawet że go zastrzeli. Nie przewidział jednak, że Evansowi omsknie się noga i runie w dół. I że przy okazji chwyci Josha za poły kurtki, pociągając go za sobą.

To był przerażający moment – bez żadnej kontroli nad tym, co się działo, Josh staczał się wzdłuż spadku, objijając o wszystko, co stało mu na drodze. Bill wylądował

na ziemi jako pierwszy, więc ostatecznie Josh przeturlał się jeszcze przez niego, nim wreszcie zatrzymał się z głuchym jękiem.

– Ja pierdołę... – wymamrotał, krzywiąc się z bólu. Zaczął się podnosić. Chyba nie miał nic złamanego, ale niezłe się potłukł. Zerknął w stronę Billa, który leżał w bezruchu kawałek dalej. – Bill? Ej, Bill.

Żadnej reakcji.

– Bill! – zawołał nerwowo Josh, po czym uklęknął u boku mężczyzny i szarpnął go za ramiona. – Bill!

Kurwa, czy on nie żył?! Jeszcze tego brakowało, żeby przez głupią sprzeczkę, Josh pozbawił Evansów drugiego syna.

Na szczęście Bill mruknął coś pod nosem i otworzył oczy, a następnie wstał, choć kosztowało go to równie wiele wysiłku, co Josha. Josh cofnął się o parę kroków, zamierzając dać mężczyźnie nieco przestrzeni. Bill spojrzął na skarpe, z której się stoczyli, a następnie przeniósł spojrzenie na Josha.

– Zabiję cię – oznajmił grobowo.

Tego rodzaju słowa, padające z ust kogoś, kto miał broń, nie brzmiały jak żart. Zwłaszcza, gdy dłoń tego kogoś nagle znalazła się w okolicach kabury... Josh spanikował. Zareagował instynktownie. Znowu rzucił się na Billa, który jęknął w wyrazie dezorientacji, przewracając się na plecy. Szarpali się. Bill był silniejszy, ale sprawiał wrażenie, jakby walczył z namolnym natrętem, którego chciał się pozbyć bez robienia mu krzywdy. Josh był zbyt zaślepiiony strachem, by to zauważyć, a przy tym wyjątkowo zdeterminowany, aby wyjść z tej sytuacji z życiem, zatem walczył tak zaciekle, jak tylko potrafił.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Oddech Billa stał się dziwny. Chrypliwy. *Pożądliwy.*

Josh oderwał się od niego, a wtedy dostrzegł malujące się na kroczu mężczyzny wybrzuszenie.

– Co do licha?! – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Jesteś twardy!

– Wpychałeś mi kolano w krocze, każdy by się taki zrobił – odpowiedział z poirytowaniem Bill, wstając.

Evans sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej papierosa. Do Josha dopiero w tym momencie dotarło, że prawdopodobnie usiłował zrobić to samo chwilę temu, zanim doszło do szarpaniny. Zrobiło mu się głupio, chociaż nadal nie mógł oderwać spojrzenia od *problemu* Billa.

– Ja bym się nie zrobił – oznajmił z przekonaniem. – Bo myślę o Archie, a nie chuj wie o czym. Ja pierdołę! – dodał z dezaprobatą, cofając się gwałtownie. Niestety poślizgnął się na trawie i bezceremonialnie upadł na tyłek.

Bill odpalił fajkę, posyłając mężczyźnie pełne politowania spojrzenie.

– Chyba masz już dość – stwierdził beznamiętnie – Spieprzaj do domu.

Kiedy Archie usiłował się podnieść, poczuł jak jego palce zaciskają się na czymś twardym. Zmarszczył brwi, podnosząc tę rzecz.

– Jezu... – szepnął.

Evans skierował na niego baczne spojrzenie.

– To kluczyki Archiego! – oznajmił Josh.

Bill zmarszczył brwi, podchodząc bliżej, by obejrzeć znalezisko.

– To znaczy, że Archie tu był! – dodał Josh, zrywając się na nogi. – Musiał tędy wracać! Pewnie je upuścił!

– Nie wydaje mi się.

– To jego klucze!

– Tutaj. Naprzeciwko miejsca, w którym stał wóz – odnotował Bill, wskazując głową w stronę skarpy.

Josh spojrzał w górę. Podczas tej szarpaniny musieli się trochę przemieścić, bo faktycznie znajdowali się w tej samej linii, co oznaczony teren.

– Właśnie – potwierdził Josh, uznając to za jeszcze jeden dowód.

– Nie zszedłby tędy. Jest zbyt stromo. Wybrałby inne miejsce.

– No i może tak zrobił. Później skręcił tutaj.

– Po co? Po co miałyby się przemieszczać wzdłuż skarpy? – zapytał bez zrozumienia Bill.

– Nie wiem. Żeby nie zgubić drogi? – zasugerował Josh.

– To po co w ogóle wchodził do lasu?

To... było całkiem dobre pytanie, na które Josh nie był w stanie odpowiedzieć.

- O czym myślisz? – zapytał niespokojnie, przyglądając się Evansowi.
 - Że ktoś je tu rzucił.
 - Niby po co? – prychnął Josh.
 - Aby upozorować, że Archie znalazł się w lesie i tym sposobem odwrócić podejrzenia.
 - W jaki sposób to miałyby odwracać podejrzenia? – Josh nie pojmował tej logiki.
 - Kto mógł napaść mężczyznę w lesie, w środku nocy? – zapytał Bill, a że Josh odpowiedział mu jedynie wzruszeniem ramion, wyjaśnił – Tylko jacyś narkomani albo włóczędzy.
 - A kto mógł zabrać go z drogi? – zapytał wobec tego Josh.
- Bill zmrużył oczy, spoglądając w stronę skarpy, po czym odparł w zamyśleniu:
- Każdy.